

## 168 PO WAKACJACH

Czas powrócić do regularnych sprawozdań, które zostały rozbite przez tegoroczne wakacje. Recenzenci też ludzie, raz i drugi ulegają słabościom, nie jest zresztą nigdzie powiedziane, iż są mniej uczuleni na używki niż np. kolejarze czy aktorzy. No więc to lato włoskie drga jeszcze pod różniebieszczonym niebem, ale tutaj, w górach, gdzie piszą większość felietonów do tej rubryki, zanosi się już jesiennymi smugami, a nad ranem temperatura spada blisko zera. Na ulicach kobiety sprzedają astry i tylko patrzeć jak zapachnie antonówkami. Przekręcą więc po krótkiej przerwie większą telewizora i — w imię Ojca i Syna — zaczynam od nowa.

O, jest już i Małcużyński na miejscu. Jeszcze onegdaj spacerowaliśmy pod Krokwią i martwiłiśmy się, że Kmiecik wyjeżdża do Berina i z tej dobrej trójki „Monitora”, do której należy jeszcze Czajbowski, zostanie tylko dwójka. Ten ostatni, sierpniowy „Monitor”, nie był zły, miał więc, żeby tylko o tym wspomnieć, nader sugestywny felieton Kraśki poświęcony rocznicy wrzesniowej, ja jednak nie o tym, tylko przede wszystkim o komentarzu kanadyjskim, który zafundował nam specjalny korespondent magazynu. Najpewniej — doświadczonego przecież ten dziennikarz — da nam solidne relacje na piśmie z odbytej podróży, w telewizji jednak powiedział nam bardzo niewiele, żeby nie powiedzieć — nic. Nie mam do niego najmniejszej pretensji, bo nie każdy potrafi sobie radzić przed kamerami, myślę jednak, iż „Monitorowi” nie wolno pozwolić na niefrasobliwość w przekazywaniu ważnych informacji politycznych. Sprawa Quebecu, bo o to chodziło, wymagała głębszego nieporównywalnie komentarza, jeśli autorzy ostatniego magazynu nie chcieli spotkać się z zarzutem powierzchowności. Zapewne telewizja domyśla się, że nie idzie mi o pojedynczą pozycję programową, lecz o stranne segregowanie ludzi występujących na wizji. Pisałem zre-

szta o tym w ostatnim felietonie i nie chcę się powtarzać, choć bardzo mnie ręka świerzbi.

Myślę zresztą — mówiąc już poza tą sprawą — że czas najwyższy napisać ostrzeżenie przed różnymi primadonnami i megalomanami, którym wydaje się, iż TV służy tylko po to, by tworzyć im popularność wśród publiczności. A że możliwości TV w tym względzie są

## TELEWIZJA i „Życie”

nieprawdopodobne przekonałem się raz jeszcze, kiedy to spostrzegłem nie tak dawno nad polskim morzem, jak tłuny dziewcząt oblegaly z notesami i ołówkami pewnego grafomana telewizyjnego. Do tego tematu pozwolę sobie powrócić osobno.

No, więc należałoby właściwie rzucić okiem na ostatnie dwa miesiące, ale kiedy oto przerucam zwykły tygodnika telewizyjnego i odgrzebuję z pamięci obejrzone obrazy, to przyznam, że nie widzę w tym większego celu. Lato było stanowczo ładniejsze od programu telewizyjnego, w tym ostatnim dopisywały przede wszystkim soboty i spikerzy spośród których z prawdziwą satysfakcją powitać należy nowy nabytek Warszawy, czyli Bożenę Bukrabę Walter. I raz jeszcze przyjdzie mi westchnąć nad tym iluż to już krakowskich emigrantów przygarnia rozważnie stolica, gdy Kraków lekką ręką ich się pozbywa.

Znaczący, tak myślę, jest tegoroczny festiwal teatralny. Tym razem, inaczej niż przed rokiem czy dwoma, daje on lepszy wgląd w sytuację teatralną kraju, zaznajamia nie najgorzej z wybitnymi spektaklami ostatniego sezonu.

Przed paru dniami dostaliśmy „Makbeta” transmitowanego z teatru im. Słowackiego w Krakowie,

w reżyserii Lidii Zamkow. Pisaliśmy już o tym spektaklu po jego scenicznej premierze, nie ma więc powodu rozwodzić się znowu nad nim, tym więcej, iż był on właściwie wiernie przeniesiony ze sceny. Dwa słowa tylko o realizacji telewizyjnej, na którą z zainteresowaniem czekałem. Kraków nie miał do tej pory dobrej ręki w tej robocie, tym razem jednak ekipa realizacyjna TV rozegrała swoje powinności z dobrą sprawnością. To była pierwsza niespodzianka. Druga należy do Urszuli Gogulskiej — autorki scenografii. Widzieliśmy już wcześniej jej piękne dekoracje do „Makbeta”, działło się to na scenie przy pl. św. Ducha, okazuje się jednak, iż kompozycje Gogulskiej znakomicie się także sprawdziły na ekranie telewizyjnym.

Katowice zaś sprawiły nam dwukrotnie radość w minionym tygodniu, raz gdy przekazywały nam koncert kameralny w wykonaniu „Classici Silesiani” pod dyktando Breguły (ślicznie grała na klawesynie młoda pani Stefańska, córka Halny Czerny-Stefańskiej); dwa — serwując z archiwum przedwojenne filmy: „Prokurator Alicja Horn” i „Jadzia”. W rolach głównych Jadwiga Smosarska!

Myślę, że z tymi filmami jest podobnie, jak z literaturą Mniszków, Zarzyckiej, Marczyńskiego, Mahlerowej czy Rodziewiczówny. Po prostu trzeba przystać na konwencje, a jeśli już to zrobimy, zabawę mamy dużą. A dla starszych pań i panów tym większą, że zroszoną resentymentami i wspomnieniami ze znakomicie zapowiadającej się młodości. Przeczytałem w czasie urlopu kilka książek Rodziewiczówny. Z początku nie mogłem powstrzymać irytacji, przypomniałem sobie jednak, że po raz pierwszy wertowałem je przed dwudziestu laty i że obecna sytuacja wymaga od staro konia większej lojalności wobec autorki. Czyli przystania na konwencje. Bardzo mi to pomogło. Poczytałem sobie, jak za dawnych lat.